

Mój pomysł na ograniczenie wypadków pod wpływem alkoholu

Rok 2014 zaczął się w Polsce potworną tragedią: pijany kierowca zabił dwa małżeństwa i ich dzieci, razem sześcioro ludzi. A dwoje dzieci osierocił (jedno nadal walczy o życie). I to tylko jeden, najbardziej drastyczny przykład. Bo w całej Polsce było w sylwestra kilka śmiertelnych wypadków spowodowanych przez pijanych kierowców.

Od dawna mam pomysł, jak skutecznie ograniczyć wypadki spowodowane pod wpływem alkoholu. Pomysł jest prosty jak jajo Kolumba i jak jajo Kolumba rewolucyjny. Przedstawiłam go kilku osobom, członkom/członkiniom pewnej partii (Partii Palikota, wtedy jeszcze), ale niestety bez oddźwięku. Zapewne dlatego właśnie, że pomysł jest jak jajo Kolumba, dla wszystkich - poza Kolumbem - nie do pomyślenia.

Teraz, gdy wydarzyła się kolejna wstrząsająca tragedia, wróć do tego pomysłu (ilu ludzi od chwili, gdy przedstawiłam ten pomysł niejako oficjalnie, do dziś zostało kalekami... zginęło, nie chcę nawet myśleć...).

Na początek pytanie: Czy zdarzyło wam się kiedykolwiek grać w szachy sącząc przy tym wino? Bo mnie tak! Tygodniami pływałam po morzach i oceanach z moim mężem, żeglarzem. Gdy morze jest spokojne a łódź sunie sobie powolutku czas wlecz się niemiłosiernie, kto pływa ten wie. Można wtedy przeczytać stopy książek, albo dla odmiany, np. grać w szachy. Popijając przy tym wino. W niewielkich ilościach, dla przyjemności - nie wolno przesadzić, bo w każdej chwili może się wydarzyć coś nieoczekiwanego, zderzenie z kontenerem... ze śpiącym wielorybem... musi się być trzeźwym!!!

Ale już ta niewielka ilość, lampka, najwyżej dwie, nawet ta niewielka ilość wina wystarczy, że gra się gorzej. Niby różnica jest niewielka. A jednak znacząca. Pod wpływem nieistotnej - wydawałoby się - ilości alkoholu uważność spada i gra się gorzej.

Niby wszyscy o tym wiemy! Alkohol spowalnia czas reakcji. Ale wiemy, nie wiemy. Ja to zaobserwowałam na przykładzie gry w szachy. Najpierw nieświadomie, a potem jak najbardziej świadomie, bo mnie to zaintrygowało, a zaintrygowało mnie, bo... ale o tym później... Rozmawialiśmy o tym z mężem. Że tak nieznaczną różnicą w trzeźwości/nietrzeźwości, a różnica taka ewidentna.

Jeśli nie gracie w szachy, wypróbujcie to, choćby pisząc ręcznie jakiś tekst. Na trzeźwo i popijając wino (piwo, drink...). Może być zresztą też na maszynie (komputerze). Porównajcie swoje pismo. Lub ilość błędów, jeśli pisaliście na komputerze. Wiem, wiem, wiecie przecież, że jest różnica nawet bez tego testu. Niby wiecie. Niby wie się.

Ja w każdym razie nie wiedziałam, że człowiek pijąc upija się, gdy po raz pierwszy w życiu się upiłam. A było to tak: W połowie grudnia 1971 roku skończyłam 18 lat. Dwa tygodnie później siedziałam w nieco starszym ode mnie towarzystwie na sylwestrze w restauracji. Po raz pierwszy w życiu. Przy stoliku chłopak, na którym mi bardzo zależało. To on mnie zaprosił. Zaczęła się sylwestrowa kolacja i postawiano przede mną kieliszek z wódką. Autentycznie mój pierwszy w życiu. Wypiłam. Nalano mi kolejny. Wypiłam. Potem dostawiono kieliszek z szampanem. Wypiłam...

A potem pamiętam już tylko tyle, że chłopak-na-którym-mi-bardzo-zależało wnosi mnie z sali na trawnik i trzymając mnie w pól podczas gdy wyszarpują się ze mnie wszystkie wnętrzności. Potem nie pamiętam jak znalazłam się w łóżku, ale pamiętam jak się przebudziłam. Z głową jak bania, suchością w ustach i wstydem jak sto bań. Ja naprawdę nie wiedziałam, że człowiek pijąc upija się. W mojej rodzinie nie było nikogo pijącego. A np. ojciec mojej najbliższej przyjaciółki, alkoholik, to już była zbyt odległa relacja. Abstrakcja.

Od tego czasu w sylwestra do północy nie piję alkoholu, o północy wypijam toast szampanem, dwa, trzy, w rozwydrzeniu i cztery lampki... Po czym krótko po północy wychodzę. Moje towarzystwo i tak już tego najczęściej nie rejestruje. Zwłaszcza gdy jest to towarzystwo polskie. Kto choć raz spędzał ze mną sylwestra, ten na pewno to potwierdzi. Wybija północ i ja - jak Kopciuszek - uciekam z balu (kiedyś nawet spadł mi *pantofelek* na schodach...).

Bo od tamtego pamiętnego sylwestra i wstydu, jaki przeżyłam, wiem na czym to polega. Na tym to właśnie polega. Człowiek nie wie, jak to jest, dopóki sam się nie przekona. 12 lat później przekonałam się do ostatniego nerwu. Zakochałam się w pewnym krakowskim artyście scen, który okazał się być alkoholikiem. Podobnie jak spora część wesołego towarzystwa, w którym się obracaliśmy.

Początkowo przyglądałam się temu (z rosnącym zdumieniem i coraz większą rozpaczą, bo naprawdę byłam po uszy zakochana). A potem - swoim wypróbowanym sposobem - zabrałam się do rozpracowania problemu. Przeczytałam wszystko, co mogłam dostać na temat. W Polsce w latach 1980/81 było tego jak kot napłakał, ale po niemiecku już tak (a mieszkalam wtedy w trójkącie: Zurich-Kraków-Berlin Zach.). Spotkałam się też z różnymi specjalistami... psychiatrami...

W Berlinie z lekarką, która była ordynatorem na oddziale dla uzależnionych... naprawdę bardzo mi zależało na moim ukochanym (zanosilo się na ślub). Od niej dowiedziałam się, że jeśli sam dotknięty chorobą alkoholową nie chce się leczyć (bo w ogóle nie uważa, że powinien), to i święty Boże nie pomoże. A partnerka alkoholika z czasem staje się współuzależniona i to ją trzeba leczyć.

Dziękuję Frau Dr. Katz do dziś. Bo gdy dowiedziałam się, że mogę i ja popaść w uzależnienie - od chorego na alkoholizm, a objawy są paskudne - mimo krwawiącego serca podjęłam decyzję o rozstaniu. Stan wojenny bardzo mnie w tym wspomógł.

Ciężko było (mi na sercu), ale czego się dowiedziałam to moje. Potem - na bazie tego doświadczenia i wiedzy - doczytywałam sobie tylko kolejne publikacje, np. wszystko Wiktora Osiatyńskiego ("Rehab", "Alkoholizm. Grzech czy choroba?", "Alkoholizm. I grzech, i choroba, i..."), a także takie książki - wielkie jak sama Biblia - jak "Historia pijaństwa w czasach PRL" Krzysztofa Kosińskiego, oraz wiele biografii wielkich uzależnionych od alkoholu, jak choćby Ernesta Hemingway'a. Z rodzimych artystów-alkoholików: Agnieszki Osieckiej, Elżbiety Czyżewskiej itd...

Zanim zdradzę mój pomysł na profilaktykę zapobiegającą siadaniu za kierownicą pod wpływem alkoholu jeszcze jedno pytanie: czy pamiętacie, co robiliście 10 września 2001 roku? Nie? Nawet nie pamiętacie, że to był poniedziałek? Ale wtorek, 11 września 2001 pamiętacie zapewne doskonale? W każdym szczególe, prawda? A pamiętacie wiedzę do matury na temat alkoholu z chemii? Śmiem wątpić, nawet jeśli zdaliście chemię na 5.

Otóż to! Pamiętamy to, co wryło nam się w pamięć z powodu przeżywanych wtedy emocji. Im większe, tym głębiej wpisują się w pamięć. Gdy jesteśmy zakochani, albo gdy się czegoś bardzo przestraszyliśmy, albo gdy ktoś nam umarł, albo choćby gdy najedliśmy się wstydu (sic!!!)...

Psychologowie doskonale o tym wiedzą. Dziwię się więc, że się dziwią, że osoba, która słyszy, że alkohol spowalnia reakcję a wyzwała ułańską fantazję, niewiele sobie z tego robi i siada za kierownicą przekonana, że panuje nad sytuacją. Niech spróbuje wygrać w szachy! Albo napisać list!

I tu jest miejsce na mój pomysł: ludzie przygotowujący się do egzaminu z prawa jazdy powinni się uczyć teorii w połączeniu z przeżyciami emocjonalnymi. Dziś to bardzo łatwo wykonać, bo mamy symulatory! Jedną z ważniejszych (o ile nie najważniejszą) serią lekcji powinno być prowadzenie pod wpływem alkoholu na symulatorach! Picie, prawdziwe picie (!!!), i zasiadanie do prowadzenia na symulatorze. Ze spowodowaniem (symulowanego) wypadku włącznie. Niejednego. Pod kontrolą nauczyciela rozumie się. Z alkomatem.

Same okulary symulujące upicie nie wystarczają. To musi być prawdziwy alkohol i prawdziwe picie go. Prawdziwa

reakcja głowy na alkohol. Prawdziwe uczucia z tym związane. Z odpowiednim omówieniem tego, co się właśnie przeżyło, niemożnością zapanowania nad kierownicą, z tym, jak błyskawicznie wszystko się dzieje. Ze strachem, bo leci się na drzewo, albo gorzej, na zwierzę, na człowieka! Z rozpaczą, bo się go raniło, albo gorzej, zabiło. Albo więcej ludzi. Sześcioro. Jak pocisk na wojnie!

Do serii lekcji powinny być włączone obowiązujące wszystkich spotkania z rodzinami sparaliżowanych, zabitych... Ale także wykłady ze współudziałem rodzin przyszłych kierowców. Nieprowadzących żon. Dzieci. Chodzi o rozwinięcie wyobraźni. Sucha wiedza tego nie robi. A w każdym razie nie tak, jak robi to silne uczucie. Osoby ze zdiagnozowaną chorobą alkoholową muszą się najpierw wyleczyć, zanim dostaną prawo jazdy. Złapane muszą się poddać leczeniu, inaczej tracą prawo jazdy. Czy pilot może być alkoholikiem? Nie! Kierowca samochodu to samo!

Teraz, po tym strasznym wypadku, mówi się wiele o karze za zabijanie pod wpływem alkoholu na drogach. Ale kary to abstrakcja. Poza tym kary życia nikomu nie zwróca. Kary niewiele poprawiają. Tym bardziej, że więzienia są raczej kryminogenne niż resocjalizujące. Lepiej nie pić, nie jechać po alkoholu i nie powodować wypadków. A statystyki są przerażające: policja wśród sprawdzonych rocznie 7,5 milionów kierowców wyłapuje 180 tys. pijanych. Ilu ludzi ginie lub jest trwale niepełnosprawna tylko dlatego? Ile dzieci? Ile dzieci zostaje sierotami? Ile rodzin to dotyka, unieszczęśliwia?

*
*
*

W odpowiedzi na niektóre zastrzeżenia dopisuję (4.1.14): W tekście jest i o tym, że abstynenci oczywiście nie musieliby się uczyć jak człowiek reaguje po alkoholu. Naturalnie zachodzi obawa, że wobec wprowadzenia takiego sposobu nauczania każdy pijak zapewniałby, że jest abstynentem. Ale przecież prawdą jest, że NIKT, nawet najgorszy pijak, nie chce zabijać nikogo na drodze, więc nadużyć raczej nie powinno być zbyt wiele.

Zdaję sobie też doskonale sprawę z tego, że wprowadzenie czegoś takiego z dnia na dzień nie byłoby prawnie możliwe. A gdyby, to już słyszę ten krzyk, że "rozpija się Polaków", ale spójrzmy prawdzie w oczy, Polaków nie trzeba rozpijać ;(. Na pewno można by od zaraz (póki ludzie są wzburzeni wypadkiem w Kamieniu Pomorskim, a już, słyszę, jest nowy "alkoholowy" trup na drodze) zrobić eksperyment na wolontariuszach i opisać go (jak to np. zrobił psycholog Philip Zimbardo - tzw. eksperyment więzienny - i wyniki okazały się rewolucyjne).

O alkoholu pisałam też w recenzji filmu "Dom zły" dla portalu racjonalista.pl.

*
*
*

Alkohol na drodze, to jedna sprawa, o innych pisze lekarz pogotowia ratunkowego do GW w liście z 2009 roku:

"Głównymi przyczynami wypadków w Polsce nie są szybkość, brawura, alkohol, dziurawe drogi, kiepskie samochody. Głównymi przyczynami są: bezmyślność, skrajna głupota, kretynizm, debilstwo, idiotyzm i dumnota kierujących samochodami osobowymi."

Cały tekst tutaj.